PISMIENNICTWO KRAJOWE

WYDAWCA REDAKTOR GŁÓWNY, Hippolit Skimborowicz.

N^{ER} 3.

Kantor Główny w Drukarni Gazety Porannéj w Starym Teatrze pr. ul. Ś. Jer. n. 1790

WIDNOKRĄG NAUKOWY,

przez

TRYŃKOWSKIEGO.

II. KILKA NIEPOROZUMIENIA SIĘ PRZYKŁADÓW.

I.

Jeśli żyjesz, żyj!
Jeśli ziewasz, śpij!
Lub żyj!
Lub śpij!
Co twa senna pieśń?
Co ty stęchła pleśń?
Lub grzmij!
Lub gnij!

Spać, jestże to żyć?
Gnić, jestże to być?
Lub żyj!
Lub mrzyj!
Albo mów mi rzecz,
Albo milcz, lub przecz.
Lub rzecz!
Lub precz!

Rzeczą jest niezaprzeczoną, że Bajron, we wszystkich swoich dziełach mniéj więcéj siebie malował. Nie jest to jego wadą. Znał jak wszystkie wielkie geniusze, iż potęgę własnego tylko uczucia z całą wydać można potęgą, że kłamane uniesienia i zapały, na podobieństwo fałszywego człowieka, rychléj lub później swoję zdradzą obłudę. Jak wszystkie zatém wielkie geniusze, własném życiem ożywiał pism swoich bohatérów i dla tego też jego bohatérowie prawdziwém żyją życiem.

Z tych wszakże namiętnych uniesień, w pismach Bajrona rozlanych, gdzie, jak zwykle w uniesieniach, przemawia głos już oburzenia, już rospaczy, pomknionych niekiedy aż do niedających względu na nic, a jednak, niech mi się godzi tak wysłowić, świętych wyrzekań i samych przekleństw, chciano samego Bajrona wyobrazić i bezbożnym i lekceważącym wiarę i odrodnym, wszystkie depcącym uczucia; chciano mu nawet przyznać wszystkie, wszystkich jego bohatérów zbrodnie.

Nie utrzymujemy, aby czynione Bajronowi zarzuty, wcale nie miały zasady. Nie mamy téż zamiaru ich rozbiérać. Zbyt wiele o nich rozprawiano. Chcemy tylko wskazać dla przykładu jedno nieporozumienie się z tym wielkim pisarzem.

Bajron, ten płomienisty geniusz, którego pisma goreją ogniém serca, Bajron, któregobym nazwał samą namiętnością, w samym wrzącą zapale, zmordowany jak widać obojętnością tych, do których się zapewne całą duszą był przywiązał, może oburzony niewdzięcznością swoich, których był jednym z najpiękniejszych kwiatów, jedną z najkosztowniejszych perłą; od których sprawiedliwie mógł oczekiwać przynajmniéj czegoś więcéj niż obojętności; którym przynajmniéj nie godziło się zasmucać go niewdzięcznością *); w niezrównaném Child-Harolda pożegnaniu swojéj ojczyzny, pełnémi usty, całą piersią, wylewa swój

---

*) Wiadomo ile Bajron za swoje pisma napastowany był przez krytyków. Żaden może z najmierniejszych pisarzów nie wytrzymał tyle i tak natrętnych napaści, ile ten wielki geniusz. To było powodem jego oburzenia się przeciw ziomkom.

żal, całą duszy swojéj boleść, w téj najpiękniejszéj strofie, któréj powtórzyć bez wzruszenia niepodobna:

»*Nie żal mi ziemi, gdziem młodość strawił,*
Nie straszne podróże wodne,
Żałuję tylko, żem nie zostawił
Nic, coby było też godne.«

Znaleźli się krytycy, którzy te słowa chcieli wziąść za dowód, że Bajron wyzutym był i z najświętszego uczucia przywiązania do własnéj ziemi i ziomków. Coza niepojęcie języka duszy, języka namiętności, cały swój zapał tchnącéj przez usta! Czytajmy ten wiersz w ciągu z poprzedzającym, a mianowicie rozważmy po nim następny: takimże głosem prawdziwa przemawia obojętność?

»Teraz po świecie błądzę szerokim,
I pędzę życie tułacze,
Czegóż mam płakać? za kim i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze?«

»Pies chyba tylko zawyje zrana,
Nim, obcą karmiony ręką,
Swojego niegdyś dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką.«

I też to słowa mają być dowodem jego obojętności dla drogich osób, dla kraju; te słowa! w których właśnie taka z tego względu tchnie rzewność, taka tęsknota, taki żal obrażonéj miłości, iż nie wiém prawdziwie, czy sam, jakkolwiek namiętny i potężny Bajron, tłumacząc wprost swój żal, swoję tęsknotę do rodziny, do ziemi i ziomków, mógłby je z równą wydać namiętnością i potęgą. Nie chcemy

nawet widzieć tu głosu pogardy swoimi, jaką Bajronowi stąd inni zarzucają. Jest to nic więcéj, tylko najpotężniejszy głos najtkliwszéj, lecz obrażonéj czułości.

II.

Słyszymy często podobne zarzuty i naszemu największemu poecie, jakoby za nadto prostych i z wyższym smakiem w poezyi, niezgodnych używał wyrazów!! Coza niewieście spieszczenie ucha, coza zgnuśniałość serca, że już nam obraźliwym stał się męzki, z całą potęgą wołający głos duszy. Im szlachetniejszy człowiek, im ohydniejszą widzi nieprawość; tém się mocniéj oburza, tém dotkliwiéj swe oburzenie tłumaczy. W oburzeniu, jestże to czas dobiérać, pieścić słowa? Szkolne jeszcze zwietrzałéj przedawniałości pojęcia! Chcianoby po dawnemu jeszcze tak wszystko ogładzać, aby się żadne potężniejsze nie wydało uczucie, aby się w uczuciu nie malowała nigdy natura, aby i w najgwałtowniejszych uniesieniach, hamował rozmysł wyrazy w pismach, choć go w rzeczywistości, w istotném życiu, w zdarzoném oburzeniu, nie hamuje.

»Jak Araby skwarem spiekłe,
Miotają bluźnierstwa wściekłe,
Przeciw słońcu co je pali!
Próżne wycia, marne wrzaski,
Wrą pod ich nogami piaski,
Słońce posuwa się daléj.«

III.

Genialny nasz autor dzieła *o Literaturze XIX wieku*, dzieła, którego kluez nie wiém czy setny z czytelników do-

tąd jeszcze uchwycił, a zatém i do istotnéj jego myśli wnijście sobie otworzył, niéinaczéj uważa poetę, tylko jako wieszcza opiéwającego dzieje, zwyczaje, potrzeby, jedném słowem, rzeczy swojego narodu. Mało go obchodzi głos obce śpiéwający sprawy. Zachwyca go poeta własny, narodowy. Wielbi go, ubóstwia, przenosi nad wszystkich innego znaczenia poetów. Owszem, w zapale czci dla niego, powiada, że wszyscy inni, *nie byli poetami.*

Krytycy, którzy wziąwszy księgę, ściśle się trzymają *litery prawa*, nie wnikając zgoła w jego myśl, duszę; nie bacząc dla czego to, gdzie, i w jakiém znaczeniu wyrzeczono, oburzają się, biorą te słowa za pokrzywdzenie innych poetów, jak zowią *Ojców poezyi*, przyjmują ich obronę, bronią z całém poświęceniem się, z zapałem. Chwalebna, ale niewczesna gorliwość. Żadnéj niéma krzywdy. Cóż bowiem rzeczywiście znajdujemy w tych wyrazach? Zaprzeczaż M.....cki imienia poety *Ojcom poezyi* w znaczeniu dawném, powszechnie dotąd przyjętém? Bynajmniéj. Nie przyznaje im tylko imienia poety w znaczeniu przez niego poecie nadawaném. Czyż to jest krzywdą? Czyż w tém znaczeniu imię poety im służy? Czyż dla tego, który w narodowości tylko widzi poezyą, są poetami wieszcze opiewający rzeczy obce? Choćby i byli, komuż poeta śpiewający własne sprawy nie jest o stokroć od nich milszym? Czyż więc nie można w uniesieniu czci dla takiego poety, wyrzec: nie, przy téj poezyi, tamta nie jest poezyą, przy tym poecie, tamci nie są poetami! Jestże to uniesienie albo dla wielbionego poety przesadzone, fałszywe? albo dla tamtych poetów niesprawiedliwe, krzywdzące?

— Ale i tamci byli narodowymi. Nie przeczę. I cóż stąd? mogąż krytycy nie widzieć i tu jeszcze różnicy, gdy ta, jak słońce bije w oczy swoją światłością?

Bez wątpienia byli i są narodowymi poetami wszyscy, którzy, w jakikolwiek sposób, pieniami swojémi przyczyniali się do dobra narodu: rozwidniali pojęcia, kształcili obyczaje, oznajamiali nawet z światłami innych narodów. Kto w tém nie uznaje poezyi narodowéj; ten nie zna ani potrzeb, ani prawdziwych korzyści narodów.

Lecz czyż niéma różnicy i między rzeczami pożytecznemi narodowi? Czyż niéma rzeczy bliżéj obchodzących naród? Któremuż narodowi nie są interesowniejsze dzieje, zwyczaje, obyczaje, przesądy nawet własne, niż najszumniejsze innych tryumfy? Możnaż się przeto dziwić, że i poeta swoje opiewający rzeczy, nucący dawną, najprostszą, niewinną, gdzieś tam z duszy poety natury wyszłą dumkę posępną, lub poskoczną piosnkę, jak pienia rodzinnego śpiéwaka wiosny, najpiérwéj dolata ucha swoich, najmiléj wnika w duszę ziomków? Lub możnaż się dziwić, że swoi, tonąc w roskoszy nad urokiem jego dawno znajoméj sercu nuty, lecz po długiéj zimie, raz piérwszy brzmiącéj, zachwyceni, oczarowani, wołają, klaszczą, to nasz ulubiony śpiéwak! przy nim, niczém są inni, niczém wszyscy: *nie; oni nie byli naszemi śpiewakami*, nie byli poetami dla nas!

I w pieniach tego jeszcze rodzaju, któż nie widzi, iż są jeszcze różnice? Któż nie widzi, że co innego jest opiewać rzeczy nic więcéj tylko swoje, a co innego opiewać rzeczy potrzebne, prostujące wiarę, obyczaje, lub przesądy swoich?

Ta różnica może wypląta z nierozdzierzgnionéj matni, w któréj się od czasu wyjścia dzieła *o Literaturze XIX wieku*, wielu z naszych pisarzów i samych krytyków wikła. Dojrzéć ją zdaje się łatwo.

A jednak jest to kamień obrażenia, o który się pojęcia i sądy o wartości poetycznéj rozbijają. Zgodzono się na wyższość poezyi własnéj. Lecz na czém zależy? każdy po swojemu sądzi. Najwięcéj atoli pisarzów i krytyków zdają się w przeszłości tylko widziéć poezyą narodową, własną. Stąd chwalebny odgrzebywania zabytków przeszłości zapał. Stąd coraz częściéj budzone echa śpiących dla naszego ucha i saméj nieraz wiedzy, myśli i uczuć wieków ubiegłych. Nic pożądańszego nad tę dążność. Przy niéj spodziewamy się niedługo usłyszéć groby i prochy każdego narodu mówiące do potomności, do swoich ziomków, własnym głosem, uczuciem. Któż nie widzi bogatego w tém źródła dla dziejów i wszystkich nauk i miałowicie dla praktycznéj nauki, nauki życia?

Lecz czy nie wpadamy w drugą ostateczność? zajęcia się samém tylko odgrzebywaniem rzeczy dawnych. Wszystkich oko w przeszłość zwrócone, przeszłość podsłuchuje ucho. Ledwo który zwraca uwagę na obecny stan pojęcia obyczajów, fizycznych i moralnych potrzeb. Zaledwo kto do żyjących, głosem żyjących przemawia. Przemawiającego zagłuszają wnet lubownicy przeszłości, albo, powiedzmy prawdę, zwolennicy mody, bo dla wielu piosnki dawne, tradycyjne, w ustach ludu żyjące, zmieniły się w prawdziwą modę i nic więcéj tylko w modę. Oburzają się na wszystko inne, ganią, wywołują. Dla czego? Czyż tylko lud sielski jest narodem? Czyż tylko przeszłość każdemu narodowi jest własną, interesowną, miłą? Wyższe

pojęcia i uczucia, czyż nie lepiéj wnikają często w myśl i potrzeby swojego wieku i narodu? Pojęcia zaś i uczucia obecne, czyż nie lepiéj wpadają nawet w ton naszych myśli i uczuć, harmonizują ze stanem duszy i potrzeb, a tém samém, czyż nie są, jeśli nie więcéj, przynajmniéj równie bogatym żywiołem prawdziwéj poezyi? Dla czegóżby nie były? Dla czegóżby potrzebowały wprzód się zestarzeć, wprzód pójść w zapomnienie; a potém wywołane z niepamięci, z grobów, stać się lubą, upragnioną nam nutą?

Bolejemy nad zaniedbaniem się wieków przeszłych; dla czegóż się sami zaniedbujemy? Uznajemy, iż wiele z przeszłości, winą przeszłości zaginęło i niczém się dziś odszukać nie daje; wynurzamy nad tém żal — sprawiedliwie. A dla czegóż na podobne żale wskazujemy potomność? Czemu jéj wydziéramy nasze, dzisiejsze, również potomnym drogie i wypadki i zasługi? Czemu je lekceważymy, poniewieramy, w posępnych jedynie i krzywdzących malujemy kolorach? Czyż zawsze tylko w przeszłości siebie cenić i szukać swojéj wartości będziemy?

Pieśni gminne, szacowne dla wszystkich, nauczające dla gminu, gdy mieszczą w sobie zbawienną naukę; — jeśli wznawiają dawne, rodowe między nami nienawiści, czy nie wywiérają szkodliwego wpływu?

Świat wyższy, naukowy, myślący, we wszystkiém chwyta myśl, pojmuje zamiar, stosunek; gmin rozumie tylko słowa, znaczenie literalne i stosownie do niego przejmuje się miłością lub nienawiścią, zapala się przywiązaniem lub zemstą? Czy można więc wszystkie bez braku pieśni gminne, za zbawienne dla gminu uważać? a tém samém i wielbić i upowszechniać? Wątpliwości te rzucamy

na świat dla rozwagi zbieraczom i wielbicielom lada piosnek, bez braku, dla tego tylko, że są dawne, od gminu wzięte, gminowi dostępne. Kto z tego stanowiska rzuci uwagę, jakże niezmierne mnóstwo znajdzie pieśni szkodliwych, w owéj zwłaszcza, (nie bez przyczyn) najwięcéj dziś uwielbionéj poezyi Ukraińskiéj; bo pieśni, zgubne tylko, wzajemnéj niegdyś nienawiści, przelewające uczucia; a te, jakiż wpływ wywrą, a więc jakiéjże są wartości?

Powtarzamy, gmin rozumié tylko słowa i niemi się literalnie rządzi. Im jest ważniejszy wpływ na gmin poezyi gminnéj, tém troskliwiéj na złe lub dobre téj poezyi wrażenie, albo raczéj wyrazy; bo u gminu wyraz jest wrażeniem; baczyć należy.

Możnaby wiele jeszcze powiedziéć i przeciw zbytecznemu uwielbianiu poetycznych piękności tych piosnek, z niemałą prawdziwéj poezyi krzywdą. Lecz gotowiśmy wiele z estetycznych zalet ustąpić, dla prawdziwie zbawiennego wpływu, gdybyśmy tylko ten widziéć mogli. Bez niego zaś, mało najczęściéj w sobie warte pieśni gminne mają tylko wartość dawności, jako źródła historyczne, choć najczęściéj mętne, a gdy i z téj odziera je wpływ ich zgubny, więcéj zapomnienia jak uwielbień stają się godne.

J przy najszacowniejszych jednak poetycznych żywiołach przeszłości, nie przeto mniéj jest bogatą w nie teraźniejszość, nie przeto więc i poetom ma być obojętną. Prawdziwy owszem, w całéj sile tego wyrazu poeta, jest to organ swojego narodu i wieku. Organ panującéj w nich myśli. Chwyta on myśl, duszę spółczesnych, albo raczéj sama dusza spółczesnych wstępuje w jego duszę, ożywia ją, wznosi, wyrywa mu z piérsi głos, który jest głosem

wszystkich. Skoro się więc dał słyszéć, w mgnieniu oka jego echo się rozlega, usta go podają ustom, piérsi piérsiom, dusze duszom, i wszędzie wtórzy im poklask radości, uniesienia: *tak, tak, to myl, to uczucie naszego wieku!*

Takim poetą można być nie w samych rymach. Ciasna to głowa, co bez rymów nie pojmuje poezyi. Czy u nas mieliśmy takich poetów i kto był takim? niech to pytanie rozwiąże głos powszechny. Ja o wielu jeszcze i narodowych poetach rzekłbym: nie, oni nie byli poetami swojego narodu, nie byli wieszczami ich potrzeb, śpiéwakami ich myśli. Nie wstąpiła w ich duczę dusza ich narodu w ich wieku. Coś z tego zasłyszeli. Jakaś obłędna? żatlała w nich iskra. Siebie i siebie otaczające, śpiéwali rzeczy. Nie przeczę, pienia ich są wdzięczne, roskoszne, czarujące. Podobają mi się, zachwycają mię, unoszą—lecz nie spokoją. Czegoś wyższego pragnę, do czegoś lutni godniejszego tęsknię, wzdycham. Niekiedy zdarza mi się usłyszéć i ten głos niebiański, co się wybił z zaczarowanego koła ciasnéj i nazbyt jałowéj samoistności, zwietrzałych tren lub affektów erotycznych i nic więcéj tylko tych tren i affektów; głos, co się wzniósł nad siebie, wzruszył naturę, zajął uczucia całéj ludzkości; na jego urok całe niebo wstępuje w moję duszę, niebo rozlewa się po wszystkich jestestwa mojego nerwach, tonę, rozpływam się w tém niebie. Nie brak nam i na takich poetach. Mamy ich może więcéj niż ktokolwiek. Pysznijmy się, to największy nasz zaszczyt. Któżby go i na co zamienił? Na czele ich stoi wielki Arcy Kapłan *). W jego myśli widzę zawsze tę wielką myśl,

*) Woronicz.

ten wzniośły ton, które nie samego tylko poetę, lub jemu podobne, jak dobrze rzeczono, wiecznie synogarliczym głosem gruchające dusze; lecz jak bujający pod niebem orzeł, zdolne są zająć i zajmują uwagę i dusze wszystkich téj strefy nieba mieszkańców. To poeta narodu i wieku; przy nim, niechże i mnie kto potępia, inni nie byli poetami narodu, wieku; nie, oni nawet nie byli poetami!

A jednak byli poetami, wielkimi pod względem zdolności i sztuki, często większymi nawet poetami—zbywało im tylko na lepszém pojęciu swojego powołania. Nie wzbili się tylko do krainy prawdziwéj poezyi. Potęgę wszakże geniuszu i z mniéj poetycznych przedmiotów, umieli wywołać prawdziwą poezyą. Z tego względu tém większa poetyczna ich zdolność, potęga. Gdybym pod tym względem uważał poezyą i wielbił poetę, mógłbym nawzajem powiedzieć: nie, przy tych poetach, tamci nie byli poetami. I w rzeczy saméj, gdyby ze swoją wrodzoną poetyczną siłą, byli się wznieśli do krainy prawdziwéj poezyi, możebyśmy i pod piérwszym względem powiedzieli o nich, stawiąc z nimi do porównania najwięcéj dziś wielbionych poetów: nie, przy tamtych ci ani byli poetami!

To są sprzeczności, ozwie się w ramy prawideł oprawiona myśl i dusza, to plątaniny. Nam potrzeba praw określonych, pewnych, jak pod sznur wyciągniętych.

Daj pokój ze zbutwiałémi sznurami. Zwątlałą wiekami ich siatkę, nie tylko bąk, lecz i lada mucha już dziś przebije. A całą prawidłowości budowę, skleconą wiekami, każdy siłą natchnienia pędzony geniusz, tchem jednym rozwali.

Ale to uniesienia, to próżne, natężone deklamacye—wyrzekł ktoś tam piérwszy w pół-senny i roztwarciem gęby, jak zaraźliwym poziewem, i innym, i wcale snu niechętnym, gęby do poziewu roztworzył, i z gęb do gęb poziew, na cały świat myśli i mowy posłał.

Któż snu nieprzyjacielem? jakże się oprzeć tego lubego natręta pokuszeniu, jego słodkiéj napaści. Nie dziw też, że mu się posłannik wybornie sprawił. Sen ociążył powiekę myśli i mowy, i jednych zupełnie, innych w pół uśpił. Sen, głęboki sen cięży dziś nad widnokręgiem mowy i pisma. Ci nawet, którzy jeszcze przebudzeni otwiérają usta, imają się pióra, najpiérwsze słowo, najpiérwszy hołd święcą na ołtarzu lubego bóżka uśpienia. I słusznie, niech każdy czci swoich. Zbyt już wielbiono życie, rzeźwość; niechby się rozległy uwielbienia spoczynku, ociężałości. Rozległy się. Słyszeliśmy już tłumne na cześć ich pochwały. Kto je wyliczy? Wspomniemy tylko, bo się nam podobało niezmiernie, w pochwale jednego z uczonych mężów na ołtarzu tego bóżka spalone kadzidło! Zasłużony dziejopisie! w mozolnych i głębokich twoich badaniach, światły prac twoich znawca, gorliwy ich czciciel; lecz niezawzięty, jak widać, słodkiego (w pismach) wytchnienia nieprzyjąciel, nie znalazł godniejszego zasługom twoim wieńca, nad uwielbienie téj niewysłowionéj dla śpiących myśli delikatności; téj nieprzebudzenia, uchowaj Boże! czyjegokolwiek spoczynku i roztargnionych marzeń, bojaźni; któremu się wyraźnie podobały przedewszystkiém. Podobał się też, coza dziw, i ów wieniec sennym. Rozległ się w ich krainie poklask, rozumié się w pół-senny, to wieniec nad wieńcami, takiego jeszcze nie było—dla nich. Samę wielbiono dotąd

czujność, rześkość, niepotrzebny, szkodliwy, zgubny nawet zapał, który wszystko psuje, przetęża, wykrzywia. Spiąc to człowiek widzi najlepiéj, sądzi najtrafniéj, marzy najprzyjemniéj!! We śnie to zjawiają się widzenia przeszłości i—nawet przyszłości. Bez uśnienia więc, nie można jasno-widziéć. Aby zatem jasno-widziéć, jedni usypiają, drudzy chwalą uśpionych. Coza dziw, bo też i sami słuchając ich, błogo usypiają. A potężny głos czuwających, głos wydany całą przepełnioną życiem piérsią, naturalnie, budzi ich, a więc naturalnie, im się nie podoba, z miłego uśnienia wyrywa, na długo, lubego uśnienia pozbawia. Dajmyż im wytchnąć. Niech śpią swobodnie. Wiecznyż im pokój!!!

Jak to! zapał, uniesienie, mają być zgubne prawdzie, mają nawet płynąć z niepoznania prawdy? Swiadomi mają być obojętni?! Znawcy, nigdy się niedziwiący?

Przez litość. powiédzcie mi, ja nie pojmuję, jak możecie się unosić, albo się dziwić nad tém, czego nie pojmujecie? Powiédzcie, jak możecie nie unosić się, nie zdziwiać nad tém, co pojmujecie, a co podziwu i uniesienia jest godném, co samo unosi, podziwia, tak, że się niepodobna oprzéć, nie unosić, nie dziwić. A czując uniesienie, podziw, powiédzcie mi, ja nie pojmuję, jak możecie jeszcze usypiać, na wpół-śpiący rozprawiać? Jakże gdy ogień prawdy w piérś waszę wstąpi, wy możecie półpiérsią oddychać? Gdy prawda cała sobą rwie się przez usta, wy możecie na wpół-przywartą gębą jąkać? I ogień zamknięty w waszéj piérsi, waszéj piérsi nie schłonie? I prawda, swym wybuchem, na wpół-przywartych ust waszych nie rozedrze? Kamienni ludzie, idźcież dźwigać kamienie! To wasza robota, wasze powołanie, na to wy-

raznie posłała was natura; po cóż się więc wam do mówienia wdzierać, po co w pół-snem się trudzić, czemu nie zasnąć sobie wygodnie, zupełnie, choćby na wieki! My chcielibyśmy w życiu pożyć, życiem się jak tchem czystego powietrza orzeźwić, całą piersią odetchnąć, całe tchnienie, całą duszę, w duszę sobie nawzajem przelać. Pójdźcie więc do nas ogniem płonące dusze, całą duszą tchnący pisarze, w waszém życiu przynajmniéj i nasze uczujemy życie!

Ale to deklamacye, to retoryczny zapał, ozwie się znów bez wątpienia w pół-senny. W pismach rozprawia się o rzeczach spokojnie, zimno.

O wy ulubionego wam Morfea posłannicy, których on wybrał na rozdawniki swoich darów, pożądani w godzinach nocnych goście! przez litość! nie napastujcie nas w dniach przeznaczonych czuwaniu, działalności, życiu. Surowo przed sądem wieków odpowiécie za te godziny, które nam mowy i pisma wasze wydzierają czuwaniu, i w sen, luby może, lecz że już wieczny, a więc tém samém ciężki i zgubny, grożą. Uśnijcie sobie spokojnie, uśnijcie, gotowiśmy choćby was zakołysać, możemy i my wam do uśnienia zaspiéwać. Weźmijcie sobie choćby tę oto, arcy zdolną do uśpienia nutę, którą dla zbycia się was, na umyślnie tu wam, w pół-senni pomrukujemy.

A jeśli już takie jest nasłanie wyroków, że i wy na to macie usta, abyście je na utrapienie nas snem wiecznym otwierali wieczyście; przybywajcież nam w te mordujące chwile, kiedy skłopotana dusza, próżno mruży powieki i jak zbawienia, modli spoczynku; o! jeden wasz *ziewek*, choćby wśród nożów boleści, choćby w płomieniach rospaczy, uśpić nas w gnieniu oka, na całe doby uśpić, wy-

starczy. A jeśli, uchowaj Boże! i wam wraz z nami, urągliwe i wszystko na wspak przewracające losy, zamiast miękkiego z piór puchu, zaostrzone podały w rękę pióro; jeśli i was, zamiast roskosznego sobie wylęgania się na łabędzich rozłogach, jak i nas, na nudną bezsenność, dla nudniejszego usypiania innych, łokciem się o stół wesprzéć i pogryzioném piórem sam wyskok senny lać koniecznie, na papier, nagłą—cóż począć! gdy już inaczéj być nie może, cóż począć, piszmy pospołu. I nasze zdadzą się dary, jak *luli* dziecięciu, jak dla chorego *opium*. I nam nie jeden za tę lubą przysługę, jak sen słodką, odziewnie podzięką.

Nim przeto was inną, jeszcze zdatniejszą do uśpienia poczęstujemy piosneczką, obyścież kochani w pół-senni nasi, mówiący i piszący współ-bracia, przy niniejszém usnęli, *luli*. Wiém, odziewniecie podzięką, żeście usnęli. Dobrze, śpijcież spokojnie, długo, długo, nawet się nie budźcie. Jeśli cokolwiek, komukolwiek dobrego życzycie, nigdy się nie budźcie, nie otwierajcie ust, pióra nie bierzcie. Przyznamy się, my nawet, którzy należymy wraz z wami, nie już do siedmiu, lecz siedmdziesiąt razy siedmiu i kto zgadnie, wiele razy siedmiu śpiących braci, przy równéjże z wami na ponętę uśnienia słabości, mimo równe z wami uczucie błogiéj w uśnieniu roskoszy, przyznamy się, doświadczamy niekiedy ochoty skosztowania przecie i roskoszy życia. A cóż inni, którzy tą tylko żyją roskoszą, którzy żyć bez téj roskoszy nie mogą. Prosimy więc, błagamy was, za nich i za siebie: śpijcie spokojnie—miéjcie cierpliwość—będzie czas, przyjdzie jeszcze pora, skleją nam się powieki, uśniemy cicho, głęboko,—tam—gdzie nic już nam snu nie przerwie... nigdy... Wtenczas, wolno wam,

ak się podoba, nad kolébką drugiego naszego ży całą wynucić nad-piosnkę, jeśli nad-piosnkę kiedykolwiek podobna wynucić—wtenczas— słuchać was z cierpliwością przyrzekamy.

Co mówię? nie, dajcie i wtenczas pokój — wtenczas nadewszystko przez litość dajcie nam pokój. Ach! jeśli dziś przy waszych nudach, jedna chwila staje nam się nieprzeżytą wiecznością! cóż gdy, uchowaj Boże, całą wieczność, podobnych nud słuchać nam przyjdzie... O! teraz pojmuję co to jest wieczność!... Aż strach mi wspomnieć jakby mię, słuchając was, znudziła wieczność!

Zgoda, nudźmy się tu więc raczéj nawzajem. Od nas początek. (*D. c. n.*)

Pisano 1838 roku.

NOWOŚCI

PISMIENNICTWA POLSKIEGO.

Berliński nasz Korrespondent, Dr. Chodkowski, o którym, (na zasadzie odebranego listu) donieślimy, iż pracuje nad obszérném dziełem *o starości*, mającém stać się drugiém podobno w polskiém Piśmiennictwie lekarskiém,—przysłał nam do druku rozprawę swą w języku polskim o zézowatości.

Wincenty Pohl napisał wyborną jeografią ziemi polskiéj, trzymając się biegu rzek naszych.

Wykład mnemoniczny Jeografii p. n. *Wiadomości wstępne czyli nowy sposób uczenia się Jeografii* przez J. Majorkiewicza, już jest w druku. Prenumerata przyjmuje się ciągle w Redakcyi Gazety Porannéj w ilości zł. 2 za egzemplarz; po wyjściu zaś zł. 3.